

Stanisław Barańczak - Od Knasta

„Od Knasta” – tak mawiało się w mojej dzielnicy
(po poznańsku powinno się rzec „w moim fyrtku”)
tonem głosu znaczącym: „Inni cukiernicy
ze swym brakiem finezji i nadmiarem frytur
są jak ta cała PRL-owska szarzyzna:
wariat, co już zapomniał, gdzie słoik konfitur,
ale wciąż jeszcze boi się do tego przyznać

i wieńczy ciastka bladym agrestem z kompotu.
Tak, tylko Knast zachował przedwojenny fason”.
Ja byłem powojenny: ideę bojkotu
eklerów albo ptysiów, z każdą nową fazą
soc-dobrobytu (zawsze jak w bon-mot królowej)
rzucanych (ciasta kruche też!) na rynek, farsą
nazwałbym, gdyby mi to mogło przyjść do głowy;

wypieki Knasta miały jednak dosyć przewag
(sama ich świeżość była już szczytem komfortu),
by doceniał je nawet taki skrajny lewak
jak ja dziesięcioletni. Cukiernia od frontu
i wewnątrz nie zdradzała, że trwa tutaj sroga
walka klas, ucisk mas przez macki wielkich fortun:
lada, stolik, krzeselko. Ale za to rogal

na świętego Marcina! albo smak mazurków
wielkanocnych, z ich lepkiem migdałowym fryzem,
Szarą Granią chroniącą Różowy Staw lukru,
za dopłatą – z napisem, lub wręcz aforyzmem
(lukrem czekoladowym), od prostych (Helence)
do dłuższych, takich w których frezer albo fryzjer
miał słyszeć chór najbliższych: Kaziu, nie pij więcej...

Jak ja nimi gardziłem! Nie ciastkami. Ludźmi.
Tymi, którzy w niedzielę szli przez Rynek z Fary

do Knasta, nawet wtedy nie wolni, nie luźni,
przeciwnie, wprasowani w biel koszuli, w stary
szczękościsk srebrzystego lisa wokół szyi
żony, w spacer pod rękę (na jego czas swary
cichły, aby znajomi nie zauważyli),

a od wyjścia z cukierni jeszcze nienawistnej
żałośni: przez to, że tak bezbłędnie trafiali
w drzwi własnych mieszkań, w progi swych domowych istnień,
trzymając się, jak deski ratunku na fali,
tych poziomo niesionych przed sobą kartonów;
że w tygodniowym rytmie, któremu ufali,
spacer tą samą trasą wiódł ich – nie Katonów,

lecz mogących sąsiadom odrzec: „Tak, od Knasta,
innych nie warto nawet...” – Dziś mój wstyd, potworny:
przypuszczać, choćby dzieckiem, że ta biała laska,
to pudełko co tydzień, było kwestią formy;
nie dostrzec, że jeżeli jest coś, co pomaga
trzymać się życia, iść przez ujadanie sfory
dni – jeszcze żałośniejsza jest moja pogarda...